

WPROWADZENIE

Sześciu myślicieli, których idee chciałbym zbadać, było istotnych tuż przed rewolucją francuską i tuż po niej. Pytania, jakie stawiali, należały do odwiecznych problemów filozofii politycznej, a także etyki (na tyle, na ile filozofia polityki jest odgałęzieniem etyki). Etyka i filozofia polityki to ogromne dziedziny i nie zamierzam tutaj analizować, czym są. Wystarczy stwierdzić, że dla naszych celów możemy – z pewną przesadą i upraszczając – sprowadzić te problemy do jednego tylko pytania: „Dlaczego jednostka miałaby być posłuszna innym jednostkom? Dlaczego jedna osoba miałaby być posłuszna innym osobom lub grupom czy zbiorowościom?”. Rzecz jasna, istnieje wiele innych pytań, na przykład: „w jakich okolicznościach ludzie okazują posłuszeństwo?” i „kiedy przestają je okazywać?”, a także pytania nie dotyczące posłuszeństwa, na przykład pytania o to, co się rozumie przez państwo, społeczeństwo, jednostkę, prawa i tak dalej. Jednak jeśli chodzi o filozofię polityczną odróżnioną od politologii opisowej czy socjologii, właśnie to pytanie wydaje mi się główne: „dlaczego ktoś miałby być posłuszny komuś innemu?”.

Sześciu myślicieli, którzy mnie tu interesują (Helwecjusz, Rousseau, Fichte, Hegel, Saint-Simon i de Maistre), zajmowało się tymi zagadnieniami w niezbyt odległych od siebie czasach. Helwecjusz zmarł w 1771, a Hegel w 1831 roku, zatem

omawiany tu okres to niewiele ponad pół wieku. Szóstkę tę łączą też pewne cechy, ze względu na które warto się nią zainteresować. Zaczniemy od tego, że wszyscy oni urodzili się w okresie, który można nazwać zaraniem naszych czasów. Nie wiem, jak opisać ten okres – często mówi się o nim jako o okresie demokracji liberalnej albo dominacji klasy średniej. W każdym razie urodzili się u zarania czasów, których zmierzch być może przeżywamy. Jednak niezależnie od tego, czy – jak twierdzą niektórzy – czasy te mają się ku końcowi, widać wyraźnie, że są to pierwsi myśliciele posługujący się językiem, który wciąż jest nam bezpośrednio znany.

Niewątpliwie i wcześniej pojawiali się wielcy – a może nawet bardziej oryginalni – myśliciele polityczni. Platon i Arystoteles, Cynceron i św. Augustyn, Dante i Machiavelli, Hugo Grocjusz i Richard Hooker, Hobbes i Locke sformułowali idee, które pod pewnymi względami były głębsze, bardziej oryginalne, śmielsze i trwalsze niż idee myślicieli, o których będę mówił. Jednak od tamtych filozofów oddziela nas historia – nie potrafimy czytać ich z łatwością i zażyłością, wymagają swego rodzaju przekładu. Bez wątplenia umiemy dostrzec, jak nasze idee wynikają z idei tych dawniejszych myślicieli, lecz nie są one względem nich identyczne. Tymczasem twierdzę, że omawianych tu sześciu myślicieli posługuje się językiem przemawiającym do nas bezpośrednio.

Gdy Helwecjusz potępia ignorancję, okrucieństwo, niesprawiedliwość czy wsteczność; gdy Rousseau wygłasza swoje żarliwe diatryby przeciw sztuce, nauce, inteligencji i przemawia (lub wydaje mu się, że przemawia) w imieniu prostej ludzkiej duszy; gdy Fichte i Hegel wychwalają wielką zorganizowaną całość, narodową organizację, do której należą, i mówią o poświęceniu, misji, obowiązku narodowym, radości płynącej z utożsamiania się z innymi ludźmi w wykonywaniu tego sa-

mego zadania; gdy Saint-Simon mówi o przyszłym wielkim, pozbawionym napięć społeczeństwie wytwórców, w którym robotnicy i kapitaliści zjednoczą się w ramach jednego, racjonalnego systemu i wszystkie bolączki ekonomiczne (a wraz z nimi także całe nasze cierpienie w ogóle) zostaną raz na zawsze zlikwidowane; wreszcie, gdy Maistre daje przerażający obraz życia jako ciągłej walki między roślinami, zwierzętami i bytami ludzkimi, jako nasiąkniętej krwią ziemi, na której ludzie – żałośni, słabi i występni – zajmują się stale wzajemną eksterminacją, jeśli nie powstrzymuje ich stanowcza i brutalna dyscyplina, i tylko czasem sięgają wyżej, ku jakimś ogromnym katuszom ofiary z siebie i samopoświęcenia – gdy formułowane są te idee, przemawiają do nas i do naszych czasów.

To kolejna interesująca kwestia związana z tymi myślicielami. Choć żyli oni blisko końca XVIII i początku XIX wieku, okoliczności, dla których wydają się istotni, jakie zdają się dostrzegać, opisywać z niespotykaną intuicją, często są charakterystyczne nie tyle dla XIX, ile dla XX wieku. Wydaje się, że to naszą epokę i nasze czasy analizują z niezwykłą zdolnością przewidywania i sprawnością. Także z tego powodu warto, byśmy zwrócili na nich uwagę.

Gdy mówię, że dysponowali oni przedziwną zdolnością przewidywania, powinienem też powiedzieć, że byli oni prorokami w jeszcze innym sensie. Bertrand Russell stwierdził kiedyś¹, że ważną rzeczą, o której należy pamiętać, czytając teorie wielkich filozofów (z wyjątkiem matematyków i logików, którzy zajmują się symbolami, a nie faktami empirycznymi czy przymiotami ludzkimi), jest to, iż każdy z nich miał jakąś centralną wizję życia, wizję tego, czym ono jest i czym być

¹ *Historia zachodniej filozofii*, tł. różni, Warszawa 2011, s. 226. Berlin zauważalnie ożywia sformułowanie Russella.

powinno. Natomiast wszelka pomysłowość, subtelność, niezwykła zręczność, a czasem i głębia, z jaką opisują swoje systemy i z jaką argumentują na ich rzecz, całe wielkie oprzyrządowanie intelektualne, jakie można odkryć w dziełach najważniejszych filozofów ludzkości, jest zazwyczaj jedynie przedmurzem wewnętrznej cytadeli – bronią przeciwko napaści, reakcją na sprzeciwy, odpowiedzią na odpowiedzi, próbą uprzedzenia i odrzucenia rzeczywistej i potencjalnej krytyki ich poglądów i teorii. Nie zrozumiemy, co naprawdę chcieli nam powiedzieć, jeśli nie przedrzemy się przez te zasieki do centralnej, spójnej, jednostkowej wizji wewnętrznej, która zazwyczaj nie jest wyszukana i złożona, ale prosta, harmonijna. Łatwo postrzec ją jako osobną całość.

Każdy z naszych sześciu myślicieli miał taką wizję. Narzucali ją oni uczniom, czytelnikom, i w rzeczy samej nawet niektórym oponentom. Jest to zresztą jeden ze sposobów pozwalających filozofowi lub myślicielowi osiągnąć wielkość. Można by wręcz powiedzieć, że myślicieli można podzielić na dwie grupy. Do pierwszej należą ci, którzy odpowiedzieli na postawione wcześniej pytania, pytania dręczące dotychczas ludzi, i odpowiedzieli na nie przemyślnie, dogłębnie, genialnie, tak że tych konkretnych pytań nie trzeba było już więcej stawiać, przynajmniej w taki sposób, w jaki stawiano je uprzednio. Na przykład Newton był myślicielem tego rodzaju. Odpowiadał na pytania nękające dotychczas wielu ludzi; odpowiadał na nie w sposób prosty i klarowny, formułując odpowiedzi o wielkiej sile i spójności. To samo można by powiedzieć o Berkeleyu, Humie i myślicielach, którzy nie są zawodowymi filozofami, jak na przykład Tocqueville, oraz o takich pisarzach jak Tołstoj. Wszyscy oni odpowiadali na prastare pytania dręczące ludzkość od wieków i udzielali odpowiedzi, które przynajmniej niektórym ludziom wydawały się rozwiązaniami ostatecznymi.

Są jednak też myśliciele, których wielkość wynika z czegoś innego, czyli nie z udzielania odpowiedzi na zadane wcześniej pytania, lecz ze zmiany natury samych tych pytań, ze zmiany punktu widzenia, który czynił je pytaniami; nie tyle z rozwiązywania problemów, ile z tak silnego wpływania na ludzi, do których przemawiali, że ci zaczęli je postrzegać „w zupełnie innym świetle”, w którym coś będącego wcześniej problemem i zagadką nie pojawiało się już, a przynajmniej nie miało już tak dużego znaczenia. Skoro zaś zmodyfikowane zostały same problemy, nie wydawały się już potrzebne ich rozwiązania. Ludzie, którzy to robią, majsterkują przy kategoriach, przy ramach, w jakich postrzegamy rzeczywistość. Rzecz jasna, tego rodzaju majsterkowanie może być bardzo niebezpieczne i może przynieść ludzkości zarówno światło, jak i ciemność. Chodzi mi o takich myślicieli, jak Platon i Pascal, Kant i Dostojewski, którzy w pewnym szczególnym sensie są traktowani jako „głębsi”, „wnikliwi” myśliciele niż inni geniusze, ponieważ osiągają poziom, z którego wpływają na innych w sposób przekształcający całą ich wizję życia, sprawiający, że przechodzą oni jakby konwersję niczym wskutek religijnego nawrócenia.

Nie twierdzę, że cała ta szóstka była (ani że była w równym stopniu) grupą ludzi obdarzonych geniuszem, niebezpiecznym geniuszem, w tym zadziwiającym znaczeniu. Wyróżnia ich, że ci, którzy przyjęli ich poglądy, którzy ulegli ich wpływowi, nie ulegli mu ze względu na ten czy inny argument – nie postrzegali tych myślicieli po prostu jako końcowego elementu długotrwałego procesu objaśniania przez innych myślicieli, których ci byłiby przywódcami w jakiś sposób od nich lepszymi. Wpływ ten przypominał raczej wpływ kogoś, kto nagle zmienia czyjeś poglądy na świat, osadzając je w zupełnie innych relacjach niż te, w których trwały wcześniej. Także z tego powodu cała szóstka zdecydowanie zasługuje na bliższe zbadanie.

Jeszcze jedna właściwość, o wiele ciekawsza, łączy ich wszystkich. Choć każdy z nich omawiał problem ludzkiej wolności i każdy, może z wyjątkiem Maistre'a, twierdził, że jej sprzyja – a niektórzy faktycznie gorąco do niej nawoływali i uważali się za prawdziwych czempionów tak zwanej przez siebie prawdziwej wolności, stanowiącej jakoby przeciwieństwo różnych jej pozornych i niedoskonałych odmian – to ciekawe jest, że ostatecznie ich doktryny okazały się wrogie temu, co zwykle rozumie się pod pojęciem indywidualnej czy politycznej wolności. Czyli wolności, jaką wykładali na przykład wielcy angielscy i francuscy myśliciele liberalni; wolności w sensie, jaki uznawali Locke i Tom Paine, Wilhelm von Humboldt i liberalni myśliciele rewolucji francuskiej, Condorcet i jego przyjaciele, a po rewolucji Constant i Madame de Staël; wolności w sensie uznającym za jej istotę to, co wskazał John Stuart Mill, czyli prawo do dowolnego kształtowania własnego życia zgodnie ze swoimi pragnieniami, tworzenie warunków, w których ludzie będą mogli rozwijać swoją naturę w sposób maksymalnie różnorodny i bogaty, a w razie potrzeby ekscentryczny. Jedyną zaporę stanowi konieczność ochrony innych ludzi, jeśli chodzi o te same prawa, i ochrony wspólnego bezpieczeństwa ich wszystkich, co oznacza, że jestem w tym sensie wolny, jeśli żadna instytucja ani jednostka mi nie przeszkadza, chyba że musi bronić siebie.

W takim sensie wszystkich naszych sześciu myślicieli było wrogami wolności, ich doktryny stanowiły w pewnych oczywistych aspektach bezpośrednie jej przeciwieństwo, a ich wpływ na ludzkość nie tylko w XIX, lecz szczególnie w XX wieku miał wielką siłę w tym antywolnościowym ruchu. Nie trzeba właściwie dodawać, że w XX wieku stało się to najdotkliwszym ze wszystkich problemów. Ponieważ sposób, w jaki ludzie ci ukształtowali ten problem jako jedni z pierwszych, jest

szczególnie świeży, szczególnie wyrazisty i szczególnie prosty, problem ten często najlepiej badać w tej dziewiczej formie, zanim przykryją go liczne niuanse, liczne dyskusje, liczne odmiany lokalne i okresowe.

Wróćmy teraz do podstawowego pytania, jakie prędkiej czy później muszą postawić wszyscy filozofowie polityczni: „dlaczego ktoś miałby być posłuszny komuś innemu?”. Jeszcze zanim Helwecjusz zaczął pisać, na pytanie to odpowiedziano już na wiele sposobów. Helwecjusz żył w czasach, w których w innych sferach ludzkich zainteresowań, na przykład w nauce, poczyniono nadzwyczajne postępy (szczególnie pod koniec XVI i w XVII wieku) za sprawą takich badaczy, jak Galileusz, Kartezjusz i Kepler oraz grupy znakomitych Holendrów, których nazwisk nie będę przywoływał, a którzy wnieśli tak wielki wkład w tę dziedzinę, choć ich wyjątkowe zasługi pozostają wciąż stosunkowo mało znane.

Jednak wszystkich ich przewyższył Newton, którego znaczenie w historii ludzkości jest szczególne. Sława jego imienia i osiągnięć przyćmiewała innych myślicieli jego czasów. Opiewali go poeci, opiewali prozaicy. Uznawano go nieomal za półboga. Traktowano go tak, ponieważ uznano, że wreszcie cały świat materialny został właściwie i całkowicie objaśniony. Stało się tak dlatego, że Newtonowi udało się skutecznie zawrzeć w niewielu bardzo prostych i łatwych do przekazania formułach prawa pozwalające z zasady wydedukować ruch i położenie dowolnej cząstki materii we wszechświecie. Wszystko, co wcześniej wyjaśniano innymi sposobami, czasem za pomocą teologii, czasem niejasnej metafizyki, wreszcie zostało oświetlone światłem nowej nauki. Wszystko było wzajemnie powiązane, wszystko było harmonijne, każdą rzecz można było wywieść z innej rzeczy. Prawa, dzięki którym można było to zrobić, były – jak powiadam – nieliczne i mógł ich się nauczyć

każdy, kto zechciałby podjąć ten wysiłek. Nie trzeba było do tego szczególnych zdolności, wiedzy teologicznej, daru metafizycznego, lecz wystarczała moc jasnego rozumowania i bezstronnych obserwacji, a także weryfikowania ich w miarę możliwości przez odpowiednie eksperymenty.

Natomiast w dziedzinie polityki, w dziedzinie moralności nie udało się znaleźć takiej nadrzędnej zasady, takiego nadrzędnego autorytetu. Gdy pytano, dlaczego powinno się być posłusznym rządzącym państwem, dlaczego ktoś miałby kiedykolwiek być posłuszny komuś innemu, odpowiedzi padały liczne i zróżnicowane. Dlatego, mówili jedni, że takie są nakazy boskie, przekazane w świętym tekście rodem z nadprzyrodzonego źródła albo w bezpośrednim objawieniu udzielonym ludziom, których autorytet w tych kwestiach jest uznawany dzięki pośrednictwu Kościoła, albo w bezpośrednim objawieniu udzielonym temu komuś. Dlatego, uważali inni, że sam Bóg urządził wielką piramidę świata – twierdził tak np. Robert Filmer w XVII wieku czy wielki francuski biskup Jacques-Benigne Bossuet. Króla należy słuchać, ponieważ taki jest porządek świata nakazany przez Boga, widoczny zarówno za pośrednictwem rozumu, jak i wiary, a przykazania boże są niepodważalne i już samo pytanie o źródło ich znaczenia jest czymś bezbożnym. Dlatego, powiadali jeszcze inni, że nakaz posłuszeństwa rządzącemu wydał sam rządzący lub wydali jego przedstawiciele. Prawo jest tym, czego zażyczy sobie rządzący, a skoro taka jest jego wola, to niezależnie od jego motywacji w ogóle nie można go kwestionować. Oto teoria monarchii absolutnej.

Dlatego, dowodzą również, że świat został stworzony (albo, jak zakładali inni, istnieje niestworzony) po to, by zrealizował określony plan albo wypełnił jakiś cel. Pogląd taki jest nazywany teleologią przyrody i głosi, że wszechświat jest swego rodzaju ciągłym rozwijaniem boskiego zwoju albo może

samodzielnym rozwijaniem się zwoju, którego Bóg miałby być immanentną częścią. To znaczy, cały świat jest jakby samorozwojem, stopniową realizacją wcielonego planu architekta. Zgodnie z tym planem każda rzecz we wszechświecie ma niepowtarzalne miejsce, czyli miejsce wynikające z jej funkcji, z faktu, że plan wymaga, by wykonała to właśnie określone zadanie, wiodła to określone życie, jeśli ma się wpasować w powszechną harmonię. Dlatego wszystko we wszechświecie jest, jakie jest, tam gdzie jest, wtedy kiedy jest, zachowuje się tak, jak się zachowuje. Ja sam, skoro jestem tym, kim jestem, tam gdzie jestem, wtedy kiedy jestem, i w danej sytuacji, w której zostałem umieszczony, muszę wypełniać swoją funkcję w takim miejscu, wyłącznie zachowując się i będącym taki a nie inny; będąc posłusznym tej a nie innej zwierzchności, ponieważ jest to część planu, część wizji. Jeśli tego nie zrobię, a oczywiście w niewielkim wymiarze mogę sprzeniewierzyć się planowi, będę zaburzał harmonię planu, przeszkadzał innym, a ostatecznie sobie, i w ten sposób stanę się nieszczęśliwy. Ostatecznie to plan ma większą moc niż ja, a jeśli moje nieposłuszeństwo względem niego posunie się za daleko, to urzeczywistniając się, zmiecie mnie z drogi.

Niektórzy modyfikowali ten pogląd i twierdzili, że być może nie jest absolutnie niezbędne, bym zrealizował swoją część planu, może nie jest to nieuchronne, ponieważ plan nie jest aż tak sztywny i nieunikniony, lecz może jest to najwygodniejsza, najbardziej opłacalna lub racjonalna metoda zabezpieczenia niezbędnego minimum, jakiego człowiek potrzebuje, by być szczęśliwym lub czuć się dobrze, albo po to, by życie nie okazało się dla niego zbyt nieznośne. Plan wprawdzie istnieje, lecz można wieść życie w pewnym stopniu poza nim, choć nie tak dobrze, nie tak wygodnie, nie tak satysfakcjonująco jak wtedy, gdyby się do niego dostosować.